



WOŁANIE

Nr. 17 (21)

Kraków, maj 1997

SPIS TREŚCI:

1. Pies szczeka - karawana idzie dalej, czyli „ochrona”
przyrody w TPN: Jacek Radosław Bilski str. 3
2. Orla Perć - honorna, ale czy bezpieczna? str. 7
3. Zgubić prochowiec, idąc na Grzybowiec:
Antoni Leon Dawidowicz str. 14
4. Górąmi pisane: *Kazimierz Przerwa Tetmajer*
- Jakie jest serce matki, albo kiedy anioł płakał str. 18
5. Z ostatniej chwili str. 24

Od maja 1987 roku ukazało się 21 zeszytów WOŁANIA

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział w Krakowie, Członek wspierający TOPR. **Adres dla korespondencji:** Andrzej Słota, 30 -150 Kraków, Armii Krajowej 83/131. **Telefony:** 22-69-98, 34-05-89, **Email:** korek @ bci. krakow.pl **Lokal:** Dom Kultury „Podgórze” ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 -19 30.

Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.

Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162809-270-1-111

PTT, Oddział Kraków, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała Zofia Nowak

Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Do druku oddano 25 kwietnia 1997

WOŁANIE

Biuletyn szkoleniowy
dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego
i członków wspierających TOPR

Pies szczeka - karawana idzie dalej, czyli „ochrona” przyrody w TPN.

Poniższy tekst jest odzwierciedleniem przekonań własnych autora, z którymi nie zawsze trzeba się identyfikować. Zdecydowaliśmy się na jego przedruk, ponieważ porusza on nadal aktualne zagadnienia uciążliwości realizowania jednej z głównych, ustawowych funkcji parku narodowego - udostępnienia do zwiedzania. Red.

By nie było obrazy - wyjaśniam. Pies, to ja. W dodatku skutecznie kopnięty. Ale o „kopie” - pod koniec.

Gdybym dzisiaj pisał ubiegłoroczny tekst otwarty „Wycieczka - jak się o niej nie pisze”¹ nie zmieniłbym ani słowa. Poruszone w nim problemy istnieją nadal - TPN nie zrobił wiele, aby je rozwiązać. I nic dziwnego, skoro w przekonaniu dyrektora Parku problemy te nie istnieją. Nie dziwi zatem milczenie przewodniczącego Rady Parku. List uznał za niewart odpowiedzi.

Prasa to „czwarta władza”. Zatem piszę znowu, bo po pierwsze nie lubię być publicznie okłamywany, po drugie uważam, że zarządzanie parkiem narodowym ma zabezpieczać interes narodu, a nie finanse zarządców i po trzecie wreszcie, że jestem z przekonania ochroniarzem, a to - z przykrością stwierdzam - stawia mnie w pozycji adwersarza w stosunku do władz TPN.

Każdy komu wmawia się, że białe to czarne może się zdenerwować - przynajmniej ja mam takie usposobienie. Słowo pisane nie zawsze przekonuje, obrazki prędzej. Dlatego oprowadzając klientów po TPN postanowiłem trzymać aparat fotograficzny w ręce. Efekty ilustrują ten tekst.

Powracam do odpowiedzi² Dyrektora Byrcyna na list otwarty udzielonej tytułarnie mnie, ale praktycznie całej turystycznej Pol-

¹ zob. Góry - nr. 17/95

² zob. Góry - nr. 18/95

sce. Może będę powtarzał się, ale szkopuł w tym, że ja wiem kiedy Dyrektor Byrcyn - eufemistycznie formułując - mija się z prawdą, a turystyka polska nie zawsze.

Park decydując się na darmowe ubikacje, nie byłby jedynym, jak utrzymuje, który pozwala wysuszać się gratis. Dołączyłby do schroniska w Roztoce, Stawach, na Hali Gąsienicowej, czy Kondratowej. Jak na razie Park nie może zrealizować nawet płatnych WC (z wyjątkiem Palenicy Białczańskiej). Jest w tym metoda. Intrańniej zaaplikować kilkudziesięciu osobom mandat za zejście ze szlaku (przyczyna zejścia nie jest istotna) niż ciułać grosze w płatnym WC od tysięcy. W maju byłem świadkiem „polowania” młodych SOP-istów na Pisanej na kobietę, która chciała dyskretnie oddać mocz, a zatem zesłała z drogi. Uniemożliwiono jej to w imię ochrony przyrody. Gdybym miał pewność, że w pobliżu nie grają strażnicy ochrony moralności, poradziłbym owej damie, o ile wykazałaby silną psychę i zdeterminowaniem, by zrealizowała swe potrzeby nie schodząc z trasy przeznaczonej dla turystów.

Za dobę parkowania autobusu na Huciskach trzeba zapłacić 72 PLN. Uważam to za rozbój w biały dzień i zastanawiam się, czy temat zainteresowałby Urząd Antymonopolowy. Proponowane przeze mnie rozwiązanie sprawy (płacenie za każdorazowy wjazd na teren parku, a nie za godziny parkowania) zostało uznane za niedobre. Niedobre, bo przynoszące agentom parkingowym i TPN mniejszy dochód.

Kwestia wpuszczania na teren parku wycieczek bez przewodnika została w tłumaczeniu Dyrektora pokrętnie wypaczona. Nie chodziło i nie chodzi o wycieczki ukrywające swą tożsamość w obawie o przymus wynajęcia przewodnika. Cały czas chodzi o wycieczki, które swego zbiorowego charakteru nie wypierają się - chcą tylko rzetelnej informacji o obowiązującej w tej materii przepisach. Mówienie o umownej linii schronisk, do których zezwala się nieformalnie, ale oficjalnie docierać grupom bez przewodnika, jest mydleniem oczu niezorientowanym. Do którego to schroniska dociera się prze bramkę na początku szlaku na Kasprowy w Kuźnicach? A przecież rozumując kategoriami decydentów parkowych przynajmniej tutaj wstęp grupy bez przewodnika powinien być niedozwolony.

Każdy kasjer honoruje bilety kolejowe na Kasprowy Wierch tak jak bilety wstępu na teren parku. Tymczasem Dyrektor Byrcyn wyjaśnia, że bilety te nie zawierają w swej cenie opłaty za wstęp do parku, a tylko „dobrowolną” opłatę za zniszczenia dokonane przez pasażera na wierzchołku. I dlatego słusznym jest pobieranie tej opłaty tyle razy w ciągu doby od pasażera ile razy zażyczy sobie zwiedzać ten wierzchołek.

Mój pomysł w sprawie zwalniania od opłaty wstępu tych zwiedzających, którzy zobowiążą się posprzątać śmieci skwitowano oświadczeniem, że rozwiązanie takie jest powszechnie stosowane. Kasjer przy elektrowni wodnej w Kuźnicach wystraszył się gdy usłyszał propozycję realizacji tej idei od mojej grupy, zaś kasjer w Chochołowskiej śmiał się długo. Jeśli w tej sprawie trzeba uzyskać pisemną zgodę władz TPN na kilka dni przed planowaną wycieczką, to chyba inaczej rozumiem powszechność tego rozwiązania niż rzeczono władze.

W ciągu ostatniego roku byliśmy świadkami przebudowy chałek bramkowych na bardziej okazałe. Widocznie miejsca pobierania „myta” zostały uznane za mało reprezentacyjne i mało komfortowe dla pracowników, którzy swą gorliwą pracą pomnażają kiesę dyrektoriatu. A sanitariatu jak nie było tak nie ma. Swoją drogą ciekawi mnie niepomnie jak i gdzie załatwiają swe potrzeby fizjologiczne pracownicy Parku, gdy obowiązku zagnają ich w tatrzańskie ostępy.

Asfaltowa droga do Morskiego Oka obsługiwana jest przez pojazdy konne. Wiele osób, które zobaczą jak ciężko pracują konie zsiada na stromszych odcinkach by im ulżyć. Ucieszyłem się, kiedy dowiedziałem się, że Park ograniczył w trosce o te zwierzęta ilość pasażerów do piętnastu. Niestety liczba ta istnieje tylko w teorii, albo cierpię na podwójne widzenie.

GÓRY komentowały mój list otwarty ustami dwóch (Kulesza i Rajwa) przewodników tatrzańskich. Wypowiedzi ich uznaję za dość „stonowane”, ale wiem na ile było szczere, a na ile „dyplomatyczne”, bowiem każdy z przewodników jest uzależniony od władz TPN po wprowadzeniu płatnych licencji.

Że obawy o restrykcje ze strony TPN nie są bezpodstawne świadczy skandal, jaki miał ostatnio miejsce w środowisku przewodników tatrzańskich. Działając bezpodstawnie, ale skutecznie

dyrekcja Parku doprowadziła do usunięcia z Komisji Egzaminacyjnej Przewodników Tatrzańskich jej przewodniczącego - niekwestionowanego znawcy Tatr (i następcy W.H. Paryskiego) - Władysława Cywińskiego, oraz piszącego te słowa. Publiczna krytyka polityki TPN w aspekcie ochrony przyrody i obsługi ruchu turystycznego została ukarana. Dodatkowym „przestępstwem” W.Cywińskiego jest podjęcie dzieła pisania kilkudziesięciotomowego przewodnika szczegółowego po Tatrach, a więc opisywanie m.in. terenów obecnie zamkniętych dla zwiedzania. Obowiązuje zakaz sprzedawania tego przewodnika w punktach TPN. Do W.H.Paryskiego, jako autora monografii „Tatry Wysokie”, takich pretensji nie odważono się zgłosić. Ciekawi mnie, czy po ukazaniu się tego tekstu zostaną pozbawiony licencji przewodnickiej.

Do tej pory generalnie nikt mnie nie poparł. Zadaję sobie zatem pytanie, czy rzeczywiście nie bredzę. Apeluję do tych, którzy podzielają mój punkt widzenia, że w Tatrach dzieje się źle, by nie milczeli. Zarządcy TPN przechylili w dobie gospodarki rynkowej szalę w stronę robienia „szmału” tracąc z oczu fakt, że Tatry są własnością narodu. Zamiast zakazów, mandatów i wygórowanych opłat proponuję stwarzanie zgodnych z zasadami ochrony przyrody warunków do zwiedzania parku.

Jacek Radosław Bilski

Zakopane, maj-sierpień 1996



Od Redakcji: W artykule umieszczone są liczne fotografie podpisane m.in:

Przebudowa regła dolnego - widać ścięte pnie drzew o średnicy ok. 80 cm. leżące przy bramie parkowej (chyba na Huciskach).

Obiekt zabytkowy prawem chroniony - Fiat 126 p. stojący obok zabytkowego szałas z umieszczoną nań tabliczką o takiej samej treści. Z przyczyn technicznych nie można ich umieścić w Wołaniu. A szkoda.

Orla Perć - honorna, ale czy bezpieczna?

Projektodawcą Orlej Perci był bywający w Zakopanem Franciszek Henryk Nowicki - poeta, który to w roku 1901 rzucił pomysł wytyczenia tej wysokogórskiej ścieżki. Do przedsięwzięcia zapalił się pochodzący z Bochni ksiądz Walenty Gadowski, często goszczący w Zakopanem i zakochany w Tatrach. Z każdym pobytem górskie wycieczki księdza Gadowskiego przynosiły coraz to nowe osiągnięcia.

Wzorem krajów alpejskich Gadowski postanowił szerokiej rzeszy turystów, nie będących taternikami umożliwić odbywanie wycieczek wysokogórskich w trudniej dostępne partie Tatr. Współ w Nowickim sam wytyczył wiele ścieżek grani od Wołoszyna do Zawratu.

Krytykowano poczynania księdza Gadowskiego. Ganiono za to, że „szpikuje Tatry żelazem”, że nie dba o czystość stylu (głównie taternicy), lecz on - sam będąc taternikiem nie przejmował się tym zbytnio. Przeznaczwszy sporą część swych prywatnych funduszy rozpoczął trasowanie i budowanie tego niewątpliwie pięknego szlaku. W ten to sposób powstała Orla Perć, która wiążąc się po grani, prowadzi turystę po stromych tatrzańskich ścianach. Umożliwia pokonywanie śmiałych, nieprzystępnych stoków i przełęczy.

Stąpienie po skalnych gzymsach, nad wielesetmetrowymi przepaściami powoduje ten dreszcz emocji i przyływ adrenaliny, który wyzwała w człowieku niezapomniane wrażenia. Ścieżka w tych czasach miała dłuższy przebieg, bowiem od Krzyżnego wiodła dalej masywem Wołoszynów, schodząc w dół aż do Polany Pod Wołoszynem, gdzie dziś krzyżują się znakowane ścieżki; czerwona i czarna. W realizacji tego projektu pomocną dłoń wyciągnęło Towarzystwo Tatrzańskie, pokrywając część kosztów budowy. Tyle historii gwoli przypomnienia.

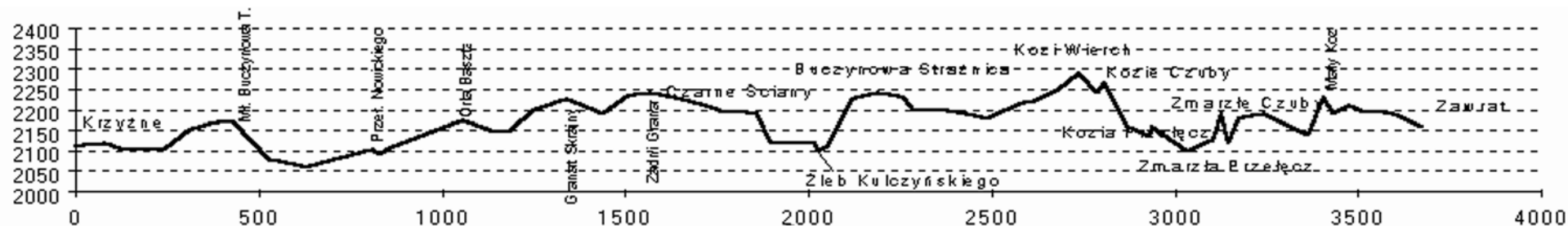
Do dnia dzisiejszego Orla Perć cieszy się wielkim powodzeniem. Jej niewątpliwy urok i umasowienie turystyki w epoce „światłego komunizmu” przyczyniło się do tego, że na tej widokowej trasie ruch jest ogromny. Właśnie to owa wynaturzona epoka, która na szczęście minęła, niewłaściwie „zaszufladkowała” działanie człowieka w górach. Alpinizm i taternictwo, które wyszły

z turystyki wysokogórskiej podniesiono do rangi dyscypliny sportowej, właściwą zaś turystykę wciśnięto na udeptane i wyznakowane kolorem ścieżki. Gdzie więc swobodne wędrowanie po górskich bezdrożach? Socjalistyczny model wymusił na obywatelu posiadanie odpowiednich uprawnień. Nie masz karty taternika - nie lźja, nie nada! Te dysproporcje być może sprawiły, że przez wiele lat nie zajmowano się stanem technicznym tej pięknej, górskiej (trzygwiazdkowej w przewodniku Nyki) trasy.

A na Orlej Perci laty ruch wzrósł niepomniernie. Skutek jest taki, że w niektórych jej miejscach tworzą się „tramwaje”, czekające w kolejce na przejście jakiegoś eksponowanego odcinka. A przecież można by w takich newralgicznych miejscach pokusić się o rozwidlenie drogi co usprawniłoby ruch w obu kierunkach. Uczyniono to na Giewoncie, na który w sezonie długo czeka się na wejście.

Brak dobrej informacji o szczególnie trudnych tatrzańskich szlakach spowodował, że spora część ludzi szła na Orlą Perć jak na każdą inną tatrzańską ścieżkę. Turyści mimo woli niestety nie do końca są obcy są z zagrożeniami w terenie wysokogórskim. Większości tym przypadkowym turystom wydaje się, że skoro są na wyznakowanym szlaku, to nic im nie grozi.

Studiując klasyczną mapę turystyczną nie sposób też zorientować się, że Orla Perć to droga nie dla każdego. Nie wszyscy kupują i czytają przewodniki, choć można się z nich dowiedzieć i zapoznać się z wieloma aspektami tatrzańskiej turystyki. Podobnie jest w terenie. W okolicach Orlej Perci początkujący turysta górski nie zdaje sobie sprawy, że ta, a ta ścieżka, to droga wyjątkowo trudna, wymagająca szczególnej wprawy i skoncentrowanej uwagi w normalnych, czyli letnich warunkach pogodowych, a co dopiero w okresie wiosny, lub jesieni. Większość tablic w TPN w „stylowym, zielonym kolorze” zabrania zbaczać ze znakowanej ścieżki i informuje, że teren za tablicą to rezerwat przyrody. Sporadyczna informacja, że droga jest trudna bywa ignorowana i ginie w nadmiarze zakazów. Na postulaty o zmianie oznakowań TPN zasłania się zarządzeniem przewodniczącego GKKFiS, regulujące warunki bezpieczeństwa osób przebywających w górach, a które to uniemożliwiają stosowanie innych oznaczeń niż



obecne. Czyżby ludzie zza biurka decydowali o bezpieczeństwie w polskich górach?

W czasie silnego załamania pogody, gdy wokół szaleje burza - przebywający na Orlej Perci turysta nie ma możliwości bezpiecznego zejścia z grani, a tym samym uniknięcia wynikających z sytuacji zagrożeń. Tak jest m. in. na najdłuższym odcinku od Krzyżnego do Granatów, na którym jak wszędzie „nie wolno zbaczać ze znakowanego szlaku”. A można by przecież wytyczyć ścieżkę zejściową, która nie była trudna dla wprawnych turystów. Te zejściówki od dawna znają taternicy, no - ale im wolno.

Tej klasy historyczna, wysokogórska ścieżka jaką jest Orla Perc przyciąga wielu. Przyciąga i kusi. Sama jej nazwa już działa jak magnes - no bo to droga dla orłów, a któż nie chciałby pretendować do tego miana? Każdy w środku samego siebie marzy o piedestale.

Ksiądz Walenty Gadowski podobną ścieżkę wytyczył w Pieninach. Nazwał ją „Sokolą Percią”. Jest oczywiście łatwiejsza, lecz podobna w charakterze.

I stało się to się miało stać. Gdy w epoce księdza Gadowskiego Orla Perc odwiedzało dziennie ok. 300 osób to pod koniec XX wieku liczba ta urosła do kilku tysięcy.

Popularność Zakopanego sprawia, że szczególnie w miesiącach wakacyjnych, gdy w przybywa tu ogromna liczba wczasowiczów w wysokich partiach Tatr można spotkać ludzi, którzy wybierając się na spacer poszli zbyt wysoko. Niekiedy cudem jest, że nie dochodzi do tragedii. Jerzy Wala - osoba znana w środowisku taternickim sam przytacza o kilku takich przypadkach:

[...] Wracając z Koziej Przełęczy, poniżej Zmarzłego Stawu, na progu spotkałem matkę z dwojgiem dzieci - chłopiec 10, dziewczynka - lat 11. Matka jeszcze była wstrząśnięta przeżyciami tam, na górze. Poszła na wycieczkę do Pięciu Stawów i na podstawie mapy TPN, mimo złej pogody podjęła decyzję kontynuowania wycieczki w kierunku Hali Gąsienicowej. Po drodze przeczytała tablicę, że szlak żółty (przez Kozią Przełęcz) jest zagrożony padaniem kamieni, zlekka się i skierowała niebieskim szlakiem ku Zawratowi. Spotkani młodzi ludzie poinformowali ją, że to niedaleko, lecz nie przyszło im do głowy ostrzec, co ją czeka po drugiej stronie przełęczy [...].

Nie wszyscy wiedzą, że północne stoki Tatr są wyjątkowo strome. I dalej przytaczam słowa J.W:

[...] W upalny dzień majowy wszedłem na Zawrat w rakach, z czekanem, żlebem po twardym, zlodzionym śniegu i schodziłem tzw. „Nowym Zawratem”, czyli normalną, letnią drogą. Było dużo starego śniegu, błota i ściekającej wody; oblodzone i przysypane śniegiem łańcuchy, a w górnym odcinku ścieżki wydeptane stopnie i wgłębienia od palców wyciśnięte w śniegu - nie dałoby się na nich utrzymać przy ześlizgnięciu się nóg. Ale pogoda przepiękna, ludzie w majtkach i koszulkach bez rękawów, w adidasach. A jednak u niektórych strach w oczach. Tego się nie spodziewali. Zsypujące się kamienie i śnieg potęgowały wrażenie [...].

Jest normalne w Tatrach, że po wyjątkowo śnieżnej zimie zleby i kotły pokryte są grubą pokrywą śnieżną, która utrzymuje się aż do sierpnia. A oto kolejny cytat:

[...] Po południu, w zejściu z Zawratu na Halę Gąsienicową, na odcinku uzbrojonym w łańcuchy i klamry, w ścisisku oczekujących w niewygodnej pozycji na uwolnienie drogi,

minąłem ojca z pięcioletnim synem. Jedną ręką trzymał się łańcucha, drugą obejmował dziecko i usiłował pokazać chłopcu, gdzie ma postawić nóżkę. Uświadomiłem mu, że naraża życie dziecka, a siebie na odpowiedzialność karną za spowodowanie zabójstwa. Chyba go jeszcze bardziej tym zdenerwowałem. Ktoś postronny tak skomentował: To jego dziecko i może robić z nim co chce, nie można mu tego zabronić! Wyjąłem z plecaka pętlę i karabinek, obwiązałem w pasie malca jedną, drugą z karabinkiem przypiąłem do pasa biodrowego plecaka ojca, co dawało ojcu większą swobodę ruchów. Potem kosztowało mnie to godzinę czekania na nich. Ojciec tłumaczył, że nie zdawał sobie sprawy z trudności drogi [...].

Obrazki takie można spotkać w wielu rejonach Tatr Wysokich. Sam kiedyś byłem świadkiem, jak na odcinku Orlej Perci od Krzyżnego do Granatów, czyli tym najbardziej „zużyтым” - ojciec wiódł kilkuletniego syna przywiązawszy go krótkim odcinkiem liny do swego paska. Malcowi w tym przypadku nic nie groziło, ale po co to wszystko? Komu potrzebny taki rodzaj turystyki? Gdzie tu zdrowy rozsądek? Tak się dzieje nie tylko na Orlej Perci, lecz również na podejściach pod Rysami i Przeł. Pod Chłopkiem, gdzie trudne odcinki też są wyposażone w łańcuchy i klamry.

Na Orlej Perci od czasów księdza Gadowskiego nic się nie zmieniło. Tak jak przed wieloma laty system sztucznych ułatwień pozostał ten sam. Stalowe drabinki, klamry montowane w litą skałę, a obok ciąg łańcuchów. Łańcuchy wiszą luźno, w czasie opadów śniegu są niewidoczne i w dodatku przymarznęte. Nie da się z nich korzystać, no bo i jak? Siłą wrywać spod lodu? Poza tym w wielu miejscach zamocowano je na zbyt długich ciągłach. Skutkiem tego stale i wciąż, w różnych kierunkach obciążany tatrzański łańcuch powoduje obluźowanie zakotwień, a tym samym ryzyko wypadnięcia ze skały. Podczas trawersów luźno wiszący narażony jest na duże obciążenia (zgodnie z rozkładem sił). Zasada na drodze; jeden łańcuch - jeden człowiek aż nazbyt jest łamana. W wielu miejscach można spotkać kilka osób korzystających z tego samego ciągu łańcuchowego. A co będzie jak któreś ogniwo nie wytrzyma?

W krajach alpejskich na tego typu drogach, zwanych via ferrata ogromny nacisk położono na ułatwienia podczas przejścia czyniąc je jednocześnie bezpiecznymi. Kraje alpejskie dawno już odeszły od łańcuchów, które u nas nazywane są nadal ubezpieczeniami, choć w zasadzie to tylko ułatwienia. Bo przy osnieżeniu i zalodzeniu ścieżki, a tym samym klamer i drabinek - ryzyko poślizgnięcia, lub odpadnięcia jest takie same jak od skały. Aspekt odpowiedzialności za bezpieczeństwo turystów już dawno przesądził o zdrowym podejściu do sprawy.

Jak dotąd nikt nie wniósł sprawy do TPN (który jest gospodarzem na terenie Tatr) gdy wypadek w wyniku z winy złego stanu ścieżki.

Dziś w Alpach stosuje się mocowane na sztywno stalowe liny o średnicy ok. 14 mm, w które można wpiąć karabinek. Połączenie poprzez pętlę z pasem biodrowym (dolną uprzężą) - stanowi doskonale zabezpieczenie w razie poślizgnięcia, lub innego niebezpieczeństwa. W wielu też miejscach stosowane są grube, wykonane z tworzyw sztucznych liny poręczowe i drabinki sznurkowe (Matterhorn). Dzięki temu nie korodują i są lżejsze, co umożliwia łatwą wymianę w przypadku uszkodzenia (kamienie).

Na początku lat 90-tych w środowisku przewodnickim, ratowniczym (TOPR) trwała dyskusja na temat przyszłości Orlej Perci. Rozważano kilka rozwiązań:

1. Czy całkowicie ją zamknąć, oraz zdemontować istniejące urządzenia?
2. Po starannym ospitowaniu trudnych miejsc umożliwić jej przechodzenie wyłącznie w małych grupach prowadzonych przez licencjonowanych przewodników?
3. Czy dopuścić ruch turystyczny na obecnych zasadach, równocześnie remontując szlak.

Zdecydowano się więc na remont i zaczęto modernizację rozsypującej się Orlej Perci. Roboty rozpoczęły się od Zawratu, a właściwie od Świnicy - jako że ten odcinek jest najbardziej uczęszczany. Co z tego, skoro ponownie umieszczono łańcuchy, tym razem grubsze. A na dodatek stare w wielu miejscach nie uprzątnięto. Leżą m.in. pod Zmarzłą Przełęczą i rdzewieją. Wstyd.

Ostatnio wiele słyszy się o Orlej Perci. Głównie z doniesień o licznych wypadkach. Wynikają one głównie z lekceważenia elementarnych zasad bezpieczeństwa poruszania się w terenie wysokogórskim i braku odpowiedniego wyposażenia. Chodzenie po Tatrach przez cały rok stało się modne. Lecz w Tatry coraz częściej chodzą ludzie młodzi, którzy zaledwie liźnęli tatrzańską, letniej turystyki. Idą na Orlą Percę jak na każdą inną tatrzańską wycieczkę - nieraz bezmyślnie. Zdarza się, że ktoś Orlą Percę „przeleci” w ciągu jednego dnia, a nawet w ciągu 8 godzin.

Ostatniej jesieni ulewy poczyniły liczne zniszczenia w Tatrach. Nie ominęły Orlej Perci - deszcz zniósł ścieżki w okolicach Wielkiej Buczynowej Turni i Granackiej Przełęczy. Na odcinku; Krzyżne - Granaty Orlą Percę czasowo wyłączono. Na jak długo? Dopóki oczywiście nie naprawi się uszkodzeń. Sądząc po tempie napraw poprzednich odcinków wygląda na to, że musimy cierpliwie czekać, by Orla Percę wróciła do swego poprzedniego stanu.

Definitywne i świadome zamknięcie tego historycznego szlaku też nic nie zmienia. TPN działa w Tatrach w imię narodu i po to, by były dla narodu. Dlatego musi zrobić wszystko by ludzie w nich czuli się bezpieczni.

A. S.

Od Redakcji: Powyższy tekst opracowano na podstawie artykułów Jerzego Wali zamieszczonych w Górach nr. 31 i 32-33. W ostatnim numerze (34) opublikowano kalendarium ważniejszych wydarzeń związanych z historią Orlej Perci.

Polecamy również wszystkim cykl artykułów tegoż autora pod wspólnym tytułem „W Tatrach przez cały rok”.

J.Wala, autor wielu opracowań o górach typu alpejskiego, uczy bezpiecznego wędrowania, szczególnie zwracając uwagę na warunki zimowe i zagrożenia z nich wynikające.



Zgubić prochowiec, idąc na Grzybowiec

(wspomnienia o Janie Izydorzcie Sztaudyngerze)

*Motto: Gwiazdy ukochać
Gwiazdy rzucić
I tylko piosnkę, piosnkę nucić
To los mój, los mój los.
- Jan Kasprowicz*

Celem niniejszego artykułu jest przybliżenie, poprzez bardzo osobiste wspomnienia Jana Sztaudyngera, poety, fraszkopisarza, a przede wszystkim niepospolitego człowieka. Był on osobą związaną z Zakopanem przez wiele lat - w okresie mojego dzieciństwa wręcz nieodłączną częścią tego miasta. O pozycji poety w tym mieście niech świadczy fakt, iż przez wiele lat fotografia wielkiego fraszkopisarza wisiała na eksponowanym miejscu w witrynie zakładu fotograficznego przy Krupówkach. Sztaudynger oczywiście najbardziej znany był z miejscami dość frywolnej twórczości fraszkopisarskiej, a twórczość ta była nawet czymś więcej, niż próbą rozweselenia ludzi. Niech świadczy o tym taki fakt:

Kiedyś (oczywiście w górach, o których zaraz będzie więcej) Sztaudynger opowiadał, jak dwie młode góralki pokazując na niego na ulicy powiedziały jedna drugiej: Popatrz, to jest ten pan, który napisał;

*„Powiedziało gównu śliwie
Spadnij, ja cię uszczęśliwię”.*

Sztaudynger, który bardzo nie lubił wulgarnego wyrażania się w mowie potocznej traktował jednak takie słowa jako integralną część języka i strasznie żalił się, że w gazecie publikując tę fraszkę zmieniono to dosadne słowo na mniej dosadne „łajno”.

- Przecież to całkowicie zmienia efekt.

O umiłowaniu polszczyzny, takiej jaka ona jest świadczą słynne „lakoniczki”, czyli fraszki składające się nieraz tylko z dwóch, lub trzech wyrazów, oraz ta piękna fraszka:

Kiedy ja umrę niech mi tak napiszą
 Szczęśliwy człowiek upaja się ciszą
 Pisywał fraszki i wyląwiał grzyby
 A jeśli umarł to tylko na niby
 Bo w każdej fraszce, szytej polską mową
 Będzie się rodził, będzie żył na nowo.

Właśnie grzyby były jedną z pasji poety. Sztadynger w charakterystycznym berecie, z kijem w ręku chadzał w sobie tylko znane miejsca pełne prawdziwków i rydzów. Właśnie taka „grzybiarska” wycieczka odbyta w towarzystwie moim i mojej mamy będzie pierwszym wspomnieniem o Janie Sztadyngerze. Niestety nie była ona tak wspaniała jaka mogłaby być, gdyż następnego dnia spod Krokwi startował Rajd Polski i „raidzicy”, jak nazywał ich Sztadynger trenowali na trasie, zakłócając skutecznie górską ciszę. Pan Jan oprócz plecaka miał ze sobą gazetę, do której zbierał wszystkie napotkane po drodze śmieci. Nie znosił ich - szczególnie w górach. Uważał że najskuteczniejszą metodą by się ich pozbyć - jest zbieranie.

Grzybobraniem miało miejsce w lesie pomiędzy Brzezunami, a Małym Cichem. Sztadynger ubarwiał wycieczkę improwowanymi fraszkami o grzybach i swoimi grzybiarskimi wspomnieniami. Miałem wtedy około 15 lat. W tym wieku człowiek przecież jest najbardziej ciekawy świata. Wsłuchiwałem się i historie te utkwily mi w pamięci. Szczególnie jedna - wstrząsająca, a mimo wszystko pogodna o śmierci jego dziadka, która nastąpiła w czasie grzybobraniem. Możliwość przypomnienia tej historii była również dla poety źródłem natchnienia, gdyż po kilku dniach przelał ją na papier, a obecnie tekst ten jest wydrukowany.

Po przejściu przez Małe Ciche nasza trójka zeszła na przystanek autobusowy do Kośnych Hamrów. Pod wiatą po chwili zjawily się dwie kobiety, które w oczekiwaniu na autobus zapaliły papierosa. Pan Sztadynger zwrócił się do nas głośno i tak, że słycać go było wyraźne dookoła. Na poczekaniu spłodził taką fraszkę:

Nigdy mi się nie spodoba
 Pałaca osoba
 Ćma, która papierosa ćmi
 Podwójnie obrzydliwa mi.

Kobiety na pewno ją usłyszały.

Drugą wycieczką w tym samym towarzystwie była wycieczka na Grzybowiec przez Strążyską. Tego dnia Sztadynger był w „kasprowiczowski” nastroju. Cały czas cytował Kasprowicza, a najczęściej wiersz - motto niniejszego wspomnienia. Jednak po wyjściu na Przełęcz W Grzybowcu Sztadynger położył swą kurtkę na kosówce i siadłszy na kamieniu wspomniął swój młodzięczy wiersz o domu, który później ukazał się drukiem.

Połączenie tych dwóch nastrojów; wspomnienia poety z młodości i pięknej, zielonej górskiej przyrody wprowadziło nas wszystkich w atmosferę zapomnienia o troskach życia codziennego. Chyba dlatego po zejściu na dół Sztadynger zorientował się, że na Grzybowcu zostawił kurtkę. Nie było sensu wracać, bo i po co? Tą trasą ciągną przecież setki ludzi, którzy w tym miejscu są pierwszy i ostatni raz w górach, a idą po to, by potem przy wódce chwalić się, że byli na Giewoncie. Poeta swoją zgubę skwitował z charakterystyczną dla siebie pogodą ducha improwowaną parafrazą z powtarzanego tego dnia wielokrotnie cytatu Kasprowicza.

Zgubić prochowiec
 Idąc na Grzybowiec
 To los mój, los, mój los.

Trzecie wydarzenie związane z poetą związane jest z niepowtarzalnym nastrojem jego domu pod skoczną w Zakopanem. Dom ten - drewniany stoi przy ul. Piłsudskiego. Obecnie na nim umieszczona jest tablica poświęcona Janowi Sztadyngerowi. Do domu wchodziło się przez werandę, latem służącą za miejsce spotkań towarzyskich. Dom państwa Sztadyngerów gościł licznych znajomych. Każdy z gości kto wchodził do domu, przed wejściem raczył się owocami z ogrodu (głównie porzeczkami) prowadząc dyskusje na różne ciekawe tematy. Z werandy wchodziło się do salonu, gdzie zwracał uwagę wiszący na ścianie obraz Vlasimila Hoffmana, przedstawiający matkę poety z amorem.

Tu o wszystkich zaproszonych dbała zawsze gościnna i uśmiechnięta pani Zofia Sztadyngerowa, która jeszcze po śmierci poety starała się podtrzymać niepowtarzalny charakter tego domu.

W księdze pamiątkowej z tych czasów figurują wpisy wielu bardziej i mniej znanych osób. Sąsiedni pokój ze wspaniałą biblioteką i ogromnym biurkiem to warsztat poety, który codziennie rano wstawał i zabierał się do pisania fraszek. Jak sam mówił - każdego ranka pisał ich kilkaset, ale z reguły większość z nich jeszcze tego samego dnia trafiała do kosza.

Sztaudynger pasjonował się brydżem. Wystarczyło, by choć jedna z obecnych osób wyraziła chęć do gry - już pan Sztaudynger dzwonił do kogoś ze swoich znajomych celem skompletowania czwórki. Najczęstszym partnerem do brydża był jego przyjaciel pan Cezary Kamieniecki. O panu Cezarym w domu pod skocznią mówiono „właściciel Odrzykonია”, co oczywiście było grubo przesadzone, gdyż przodkowie pana Cezarego Odrzykoń sprzedali już dawno, ale ten fragment dziejów rodziny na trwałe wszedł w osobowość pana Cezarego.

Brydż z Janem Sztaudyngerem i Cezarym Kamienieckim grano jeszcze starym, tzw. „polskim zapisem” - nawet wtedy większość, (nawet starsi) grywali już zapisem międzynarodowym.

Dzięki temu atmosfera i nastrój tego brydża przenosiły nas w inną rzeczywistość - tę którą dziś najczęściej opisują wszyscy pamiętnikarze. Wszyscy bowiem mają sentyment do starych, dawnych czasów - takich co się już nie wróca. Po wyjściu pana Cezarego pan Sztaudynger zauważył:

- Obawiam się, że nastrój Zakopanego wiele straci gdy kiedyś zabraknie Cezarego.

Było to moje ostatnie spotkanie z panem Sztaudyngerem w Zakopanem.

Antoni Leon Dawidowicz

Górami pisane

Kazimierz Przerwa Tetmajer - Jakie jest serce matki, albo kiedy anioł płakał.

Była biedna gdowa Sobuśka i syna miała jednego Sobka, na którego nigdy inaczej nie wołała, tylko Sobuś i nikt też już inaczej we wsi nie nazował. Sobuś, Sobuś, a Sobuś był gorszy psa. Złe to było jako dziecko, a kiedy zaczął parobczyć, zeźlił się jak pies. A najgorszy był dla matki. Nigdy jej dobrego słowa nie powiedział, popychał, poszturkiwał, czasem zbił na kwaśne jabłko, a wymagał od niej roboty wszeliniejakiej koło siebie, sam robiąc tyle co nic. Ledwie sam oborał, obsiał i obkosił ten kęseczek pola, co mieli, a resztę: rób, matka! Nieraz piętą potracił, że nie dość fryśka. A to niebożątko obstarne już było, kopę lat i siedm miało, to taka ci wartka nie będzie, bo nie da rady. Ale się to nie użaliło, nie uskarżyło nigdy, ino zawsze „Sobuś”, Sobuś, mój Sobuś”, a od pracy aż się zgibała we dwoje.

Sobek się nie żenił; jedne dziewczki się go bały. Nierade go widziały skroś tej złości dla matki najwięcej, drugie, że i on sam do tego nie bardzo ciągnął. Ino se chciał kucharkę wziąć, co by go oprala i jeść ugotowała. I upatrzył se taką jedną i ona się zgodziła, ale se wtedy pomyślał: Po co mi teraz matka w chałupie? Na sto diabłów! Stara jest, ledwie łązi, ledwie robi. Kaśka zrobi wszystko, jesse nie telo lepiej, a i wygodę będę z nią miał. Po co mam darmożjada żywić? Wyzenem matke do pola, niek ta idzie, ka kce!

Jaki Sobek, taka i Kaśka. I ona też mu mówiła; Wyżeń matcysko, wyżeń matcysko... Co ci ś niej?! Ino zre! - Bo chciała być sama ino w chałupie ze Sobkiem, żeby jej nikt inny nie gawędził, a co naganobi, żeby tylko jej było. W jedną noc, w zimie to było. przed Gody, Sobek nie lega na pościel nic, tylko siedzi na ławie. Matka se upościelała, jako ta mogła, na ziem pod piecem, bo tylko jedna pościel w chałupie była i na niej Sobek spawał; leży cichutko, a modli się, bo widzi - kaganiec się świeci - że Sobek zły.

- Coz bedzie, coz bedzie?... szepce sobie w duszy, bo gorszy jeszcze był niżli przedtem.

Wtem Sobek mówi z ławy:

- Matka! wstaj!

Zbiera się niebożatko, bo się ani spytać nie śmiała: na co - wstaje.

- Warcej!

- Zaraz, zaraz, Sobusicku... Cos kces?

- Przynieście wody. Pić mi się kce.

- Je dy je przecie w konewce.

- Ni ma! - zaśmiał się Sobek i kopnął konewkę, że aż na matkę woda chlusała.

- Jest je, co? - mówi.

Matka się zapaską odziała, bierze konewkę za ucho.

Zimno było co cud, a ślizgo; po wodę trza było ku potoku iść, dość obdalno. Przyniosła.

Ledwo co postawiła koło ławy. Sobek kopnął drugi raz w konewkę i wodę całą wychlusnął.

Przerażona popatrzała na niego matka.

- Brudna bęła, nie cysta. Przynieście jesce raz.

Nic nie powiedziała, przyniosła, a on trzeci raz to samo. W izbie już pełno wody się nalało, że Sobek na ławie nogi wyciągnął, a matka we wodzie bosko stała.

- I ta bęła brudna... Icie matka, jesce po inom...

- Sobuś, dyj hań zimno... ja boske...

- To się matka obuj!

- Jakoz się obujem, synku ostomilsy? Kyrpcey ni mom nijakik, a te kapcátka stare, cok je przecie jakosi pomiędzy hałupy nałsa i jako tako pozesywała, mokre całe - we wodzie lezom...

Bo on je nie kupił nigdy nic. Co miała, to albo ze starości leciało z niej, albo kto darował, bo mu się jej luto stało, albo znalazła, jak i te kapce.

- To idź matke boske - mówi Sobek.

- Sobuś...

- To się wam jus ani telo posługować nie kce?! - krzyknął Sobek. 3 A zryć tobyście zarli?! Co! Hybaj matka po wode! W te razy!

- A nie oźlejes zaś znowa?

- A jak oźlejem, to co? Cyk haw nie pan? No?!

I jeszcze raz poszła, i jeszcze raz przyniosła wody, i znou on konewkę na izbę wylał.

- Samo taka, jak i hańty, brudna. Matka, icie po wode!

Wtedy stara Sobuśka. trzęsąca się cała od mrozu, padła przed nim na kolana, na wodę na izbie nie zważając, bo już widziała, że do czegoś się zamierza. A on odtrącił od siebie nogą i mówi:

- Idziecie po wode? Nie?!

- Sobuś!

- Ja wiem zek Sobek i jako mnie wołajom! - wrzasnął Sobek. 3 Nie potrzebujecie mi syćko przybacować! A kie wam się posługować nie kce, to do pola!

- Sobuś!

- Do pola mówiem! Mnie tu takik łachmandów nie trza, co ś nik nijakiej wygody nié ma. Przidzie Kaśka od Kurosa, to będzie. A wy się biercie z izby, prec.

- Sobuś, dej noc, zimno...

- Do pola!

- Umarznem...

- Ciepliście, kie we wodzie klęcycie.

- Dziecko moje! Wykarmiłak cie...

- Ba!

- Temi piersiami -

- A jakiemiście kcieli?! Do pola!

- To mnie jus wyganas?

- Tak!

- A jutro mi przyńść pozwolis?

- Nigda! Przidzie Kaśka! Darmozjadów mi nie trza.

- To się jus mam we świecie stracić?

- Strać się, matka, ka kces! Hoćby w g.....!

Objęła mu nogi rękami i usta do kolan przycisnąć chciała, ale on ją kopnął, że aż z jękiem na podłogę, w tę wodę zimną na izbie wznak padła. Byłaby może zemdlała, żeby nie ta woda właśnie.

Poznała, że tu śpasów ni mas. Pozbierała, co tam miała, a było tego jak pięść, we węzelek, przychodzi ku Sob-

kowi, co cięgiem na ławie z wyciągniętymi nogami siedział i powiada:

- Dajze mi się poboškać, synecku mój, hoć mnie jus tak nierad widzisz... dziecko moje...

Ale Sobek jak się siepnie w tył, jak wrzaśnie... Mnie tu wasego boškania nie trza! Przidzie haw Kaśka od Kurosa, to mnie uboška, kielo mi się be kciało! Do pola dziadulo zatracona! Bo jak nié?!

I złapał za garnek odrutowany, co na stole stał.

Wyszła Sobuśka cichuśko w pole, tylko się ode drzwi jeszcze popatrzyła na Sobka i uśmiechnęła do niego przez łązy.

Ciemno, kapce co je wdziała mokrzuteńskie, zimno, nie wie, gdzie iść.

- Pudem ka, na hałupy, zapukam do okna, moze mnie przecie puscom, nie tu, to ka indziej - myśli.

Bajtoć! Ze tobyk musiała pedzieć, ze mnie Sobuś wygnał z domu, toby na niego pomstowali, a to przecie dziecko...

Pudem do światu, stracem się...

Pan Bóg dobry, to mi sie nie da długo plątać pomien-dzy ludziami.

Idzie, kielza po lodzie, w śniegu grzęźnie, idzie...

A Sobkowa hałupa na boku stała, na łące i bardzo daleko do niej widać było. Toż to obejrzy się Sobuśka, widzi, w chałupie jasno w oknie.

- Nie śpi, kagańca nie zaduhnon - myśli.

Nie śpi dziecko... I pić mu się kce, a wody nijakiej ni ma... Sam po nie nie pudzie, bo zimno, éma... A pić się

mu kce... Kiebyk mu jom prziniesła... Jest putnia na obo-
rze, wypłucem cysto pięknie, postawiem przy dźwirzak,
dźwirze ino tyle uhylem, co mu powiem: Synku, mas
wody, jakbyś pić kciał - i pude. Nie bede ta jus długo
kusić świata, nie...

I jak myśli, tak robi. Wróciła, do obory cichutko we-
szła, putnię do potoku zaniosała, raz, drugi i trzeci wy-
płukała i czystej wody Sobkowi pod drzwi przyniosła, i
wtedy padła przy niej martwa.

I wtedy to wej janiół, co po jej duse prziseł, płakał.



Z ostatniej chwili

W dniu 12 maja br. Odbyła się zorganizowana przez nasz Oddział wspólnie z Polskim Towarzystwem Nauk o Ziemi konferencja panelowa nt. **TURYSTYKA, A OCHRONA PRZYRODY I KRAJOBRAZU TATR**, z udziałem m.in. dyrekcji TPN, oraz osób związanych ze środowiskiem taternickim.

W listopadowym numerze Wołania umieścimy więcej informacji o problemach, które poruszano w czasie obrad.